# Premiera „Cud, że jeszcze żyjemy” otwiera nową epokę Teatru Współczesnego. Jest w tej sztuce niejedna tajemnica...

**Piotr Zaremba**
15 grudnia 2024, 11:42

Skomentuj (1) Udostępnij Zapisz

fot. materiały prasowe teatru

**Czy katastroficzna, mocno niejasna sztuka Thorntona Wildera to najlepszy pomysł na pierwszą premierę nowej dyrekcji Teatru Współczesnego? Na pewno „Cud, że jeszcze żyjemy” to kawał przyzwoitej teatralnej formy.**

REKLAMA

To była wyczekiwana z dawna premiera. Pierwsza za nowej dyrekcji Teatru Współczesnego w Warszawie. Dyrektor Wojciech Malajkat (do niedawna rektor Akademii Teatralnej) i dyrektor artystyczny Marcin Hycnar zdecydowali się na spektakl „Cud, że jeszcze żyjemy” amerykańskiego dramatopisarza Thorntona Wildera. Niewielka widownia teatru zapełniła się znanymi postaciami świata kultury. Ciekawymi co zobaczą.

Zobaczyliśmy sztukę niemal nieznaną w Polsce. Pytanie, jak reżyserujący ją Marcin Hycnar wpadł właśnie na nią. Dramat „The Skin of Our Teeth” pokazano w Polsce na scenie tylko jeden raz – w listopadzie roku 1956, na fali otwarcia polskiego teatru na zachodnią dramaturgię po izolacji czasów stalinowskich. Zagrał to wtedy warszawski Teatr Narodowy, reżyserował Jerzy Rakowiecki. Nikt z aktorek i aktorów grających w niej wtedy dziś już nie żyje. Tłumacz Józef Brodzki dał jej tytuł „Niewiele brakowało”. Recenzenci, jak wynika z Encyklopedii Teatru Polskiego, zareagowali rezerwą lub zdawkowymi pochwałami.

Dla polskiej publiczności Thornton Wilder (1897-1975) to przede wszystkim autor wiele razy wystawianego, jeszcze przedwojennego „Naszego miasta”. Pełen ciepła i melancholii portret zbiorowości, był zarazem testem na ewolucję teatralnej formy, korzystającym obficie z konwencji scenicznej umowności (teatr w teatrze).

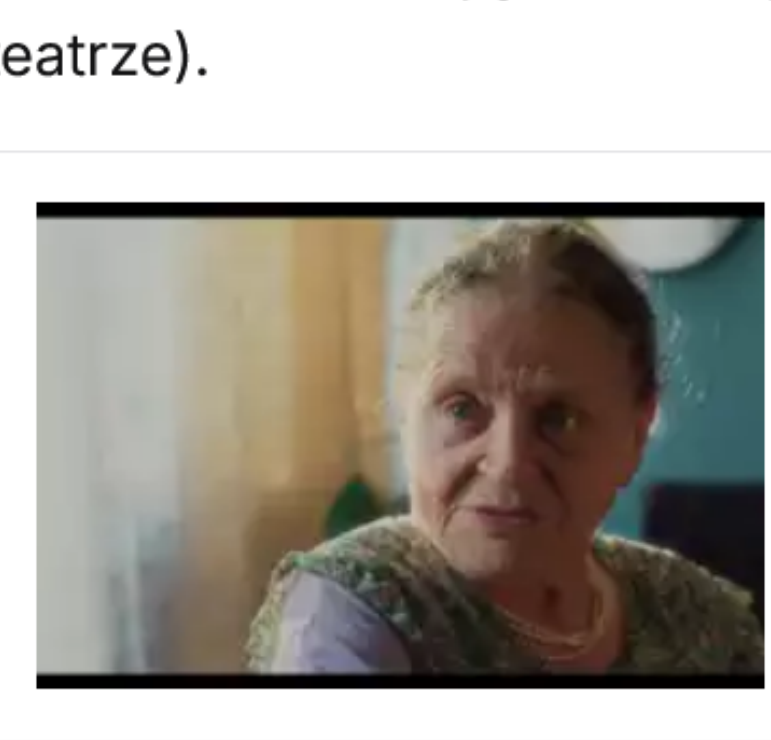

**Czułość i empatia. Reżyserzy teatralni kręcą filmy**

Obejrzeliśmy w Akademii Teatralnej trzy przyzwoite produkcje filmowe. I czwartą, która wbiła mnie w fotel. „Babcia Wandzia” Karoliny Kowalczyk to wielka lekcja wyobraźni i empatycznego stosunku do świ...

Tekst sztuki Wildera, którą zobaczyliśmy we Współczesnym, jest dowodem na ewolucję jeszcze bardziej dogłębną. Premiera miała miejsce w roku 1942. Trudno jednak nie mieć skojarzenia z pojęciem „teatr absurdu”, spopularyzowanym przecież dopiero w latach 50. i 60..

## Mamut w amerykańskim domu

Już w pierwszym akcie mamy poczucie absurdu, kiedy zaglądamy do domu państwa Antrobusów. Są obywatelami zwykłej miejscowości w stanie New Jersey. Zarazem twierdzą, że wzięli ślub 5 tysięcy lat temu. Pan Antrobus to wynalazca koła, alfabetu i tabliczki mnożenia. Mają dwójkę dzieci, ale syn Henry nazywał się kiedyś... Kain. Hodują mamuta i dinozaura. Kim więc są naprawdę? Kiedy w obliczu kataklizmu zapraszają do swego domu bezdomnych, są wśród nich Mojżesz, Homer i Muzy. Tak jakby to Ameryka stała się nagle miejscem przechowania całego dziedzictwa ludzkości.

REKLAMA

Dalsza część materiału pod wideo

STOCZNIA GDAŃSKA
Rocznica
Porozumień Sierpniowych
Domena publiczna

Trudno mi było uniknąć skojarzenia, że Wilder jest takim samym prekursorem teatru absurdu jak nasz Stanisław Witkiewicz, czyli Witkacy. Tyle że mniej obsesyjnym, można by nawet rzec bardziej pogodnym. W pierwszym akcie rodzinę Antrobusów, jak i cały otaczający ich amerykański świat, prześladuje nadciągający lodowiec. W akcie drugim i trzecim Antrobusowie doznają kolejnych katastrof. Kojarzący się w pierwszym akcie z praojcem Adamem, pan domu odegra w akcie drugim rolę Noego. A kim będzie w akcie trzecim, po wielkiej niszczącej wojnie?

Sam Wilder nie do końca pomógł nam w rozszyfrowaniu własnej myśli przewodniej. „Jest to komedia o George'u Antrobusie, jego żonie, dwójce dzieci i ich pokojówce Sabinie – wszyscy z Exelsior, New Jersey. George Antrobus to John Doe albo George Spelvin albo ty – przeciętny Amerykanin zmagający się z przeznaczeniem – raz gorzkim, raz słodkim. Antrobusowie przeżyli pożar, potop, zarazę, siedem lat chudych, epokę lodowcową, czarną ospę, tuzin wojen i tyle samo niepowodzeń. Przetrwali wiele zwrotów akcji, są twardzi jak skała i patrzą w przyszłość z rozbrajającym optymizmem. Na przemian oczarowani, oszołomieni i ogłupiali, stanowią idealny materiał na bohaterów i błaznów. Są prawdziwymi potomkami Adama i Ewy, ofiarami wszelkiego zła, które bierze początek w ludzkim ciele. Przeżyli o mały włos. Oto hołd złożony ich niezniszczalności” – tak pisał we wstępie do własnej sztuki.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że to zabawa słowami, dotykająca owszem tematyki sztuki, ale nie stawiająca ani jednej kropki nad „i”. Na dokładkę autor znowu posłużył się w tekście motywem teatru w teatrze. Aktorka grająca pokojówkę Sabinę a to narzeka na wypowiadany przez siebie tekst, a to pomija niektóre sceny, co wywołuje interwencje reżysera. W akcie ostatnim rzekomo chorych aktorów zastępują pracownicy teatru (grani naturalnie przez aktorów). Można przy okazji doznać wrażenia scenicznego chaosu. Niektóre sytuacje są zabójczo śmieszne. Inne motywy niejasne i nużące. Trzeba w każdym razie kupić konwencję, wedle której zdarzyć się może wszystko. Postaci są cały czas te same, a jednak zmieniają się nie tylko relacje między nimi, ale i ich przeszłość.

## O jakiej katastrofie mowa?

Katastrofizm całości zastanawia. Premiera miała miejsce wkrótce po ataku Japończyków na Pearl Harbor. USA weszły do kolejnej wojny światowej. Możliwe, że Wildera ogarnęło egzystencjalne przerażenie. Czy to jednak tłumaczy do końca aż taką skalę koszmarów, jakie piętrzą się na drodze przed Antrobusami? Przecież, to pierwsze skojarzenie, żadna z tych wojen nie przeniosła się na teren Ameryki.

REKLAMA

Motyw totalnych zniszczeń i zaczynania wszystkiego od nowa bardziej pasował do Europy, wręcz idealnie do Polski i Polaków. W roku 1956, kiedy zagrano tę sztukę u nas, piszący o niej krytycy mieli oczywiste skojarzenia z niedawną wojenną apokalipsą. Potem grać ją przestano. Czyżby intencje, a również i wymowa całości, jawiły się jako zbyt nieczytelne?

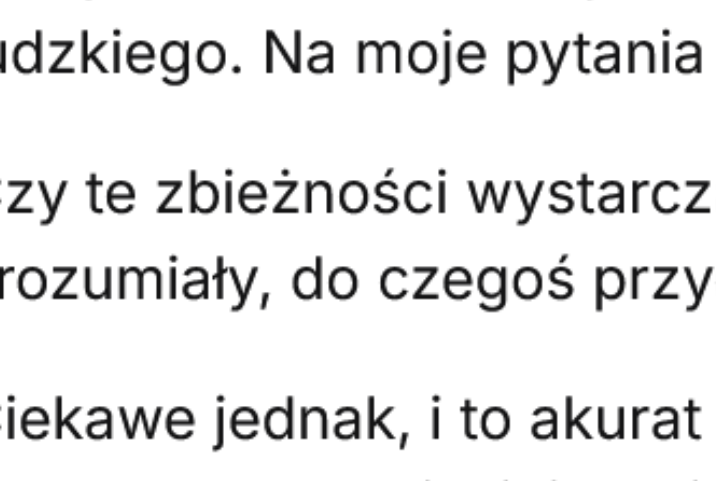

**„Historia Henryka IV”. Bardzo szekspirowski Szekspir w warszawskim Teatrze Polskim**

„Historia Henryka IV” to teatr w stanie czystym: gorączkowy, namiętny, miejscami przewrotny, przykuwający uwagę samym opowiadaniem zaciekawiających zdarzeń. Ja już trochę nie wierzyłem, że takiego Sze...

Marcin Hycnar, znakomity aktor, ale od lat robiący sensowne inscenizacje reżyser, jednak po nią sięgnął. Wraz z nowym tłumaczeniem Bartosza Wierzbięty, któremu zawdzięczamy nowy tytuł. Trudno nie mieć wrażenia, że reżyser mógł mieć skojarzenia z dzisiejszymi czasami, pełnymi coraz bardziej katastroficznych zdarzeń wojennych, ale także zjawisk klimatycznych, a jeszcze groźniejszych prognoz. Hycnar coś nawet o tym powiedział, ale niejasno. Pojawił się w jego objaśnieniach motyw odradzania się i żywotności rodzaju ludzkiego. Na moje pytania o skonkretyzowanie przesłania, nie zareagował.

Czy te zbieżności wystarczą, aby ten chwilami wręcz strumień świadomości autora stał się nam bliski, zrozumiały, do czegoś przydatny? Miałem chwilami poczucie, że tak. A chwilami ogarniały mnie wątpliwości.

Ciekawe jednak, i to akurat zapisuję na plus nowej ekipie kierującej Współczesnym, że tekst nie był przykrawany do jakiejkolwiek ideologii. Mam wrażenie, że nie ma jej w samym tekście. Hycnar nie szukał jej na siłę. Na początku, kiedy w pierwszym akcie elementem wyposażenia saloniku Antrobusów jest głowa nowojorskiej Statui Wolności, można podejrzewać, że to satyra na starą Amerykę, na jej kult sukcesu i optymizmu. Ale choć pewne takie elementy widać, zwłaszcza w groteskowych rytuałach drugiego aktu, autor szybko z nich rezygnuje. Zresztą ów komercyjny optymizm doznaje tu raczej rehabilitacji.

REKLAMA

Nie mamy tu też pochwały żadnych rewolucji obyczajowych. Mamy samczy pragmatyzm, także seksualny, pana Antrobusa. Ale mamy też swoistą, paradoksalną afirmację rodzinnych więzi. Napiszę, że „chyba mamy”, bo nic w tym tekście, i w tej rewii inscenizacyjnych paradoksów, nie jest pewne.

## Efekty na piątkę

Dostajemy za to sporo scenicznych błyskotek, wyświetla nam się na ekranie serwis wiadomości podawanych przez nowego dyrektora Wojciecha Malajkata, który gra tu dziennikarza. Scenografia Martyny Kander jest znakomita, bogata, pełna gadżetów i scenicznych żartów, bez mała olśniewających, podobnie kostiumy Anny Adamek. Muzyka niezawodnego Mateusza Dębskiego tworzy klimat czegoś nie całkiem rzeczywistego, narzuca nam groteskowe tempo. Jeśli się chwilami gubimy w zawrotnym pędzie przywoływanych przez trzy godziny kolejnych skeczy, możemy być jednak zachwyceni teatralnym rozmachem tej niby przypowieści.

Przyznaję, że jedno mnie na koniec wzruszyło. Oto na zgliszczach kolejnych światów pan Antrobus szuka ratunku w książkach, w filozofii i literaturze. To tak bardzo nieamerykańskie, tak bardzo przeciw ich komercyjnemu pragmatyzmowi, który przecież nie jest wymysłem złych Europejczyków. A jednak Thornton Wilder tak to właśnie napisał.

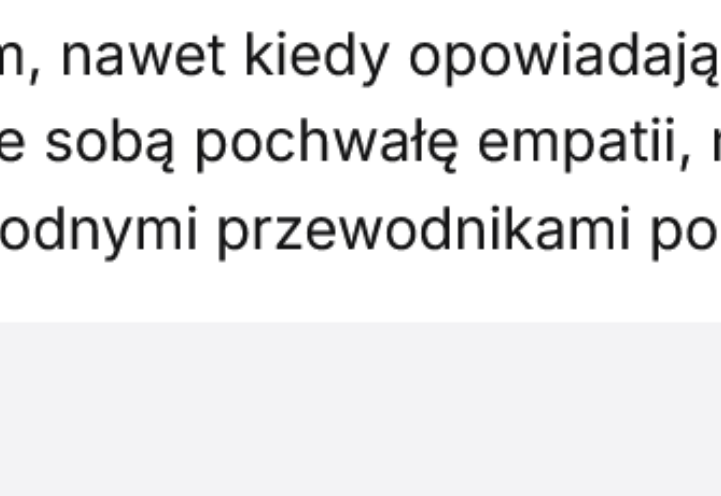

**Najmodniejsza komedia w Warszawie. „Boeing, boeing” w Capitolu**

Wojciech Adamczyk dopilnował, żebyśmy się na spektaklu „Boeing, boeing” śmiali dużo i bez przymusu...

Monika Kwiatkowska, Kinga Tabor, Dariusz Dobkowski i Piotr Bajor, aktorzy udający pracowników teatru, udających aktorów, mówią do nas cytatami. Nawet jeśli nie znajdziemy w tych tekstach całościowego, spójnego przesłania, rozumiemy, że warto szukać nadziei w intelektualnej spuściźnie ludzkości.

Całość to zarazem sprawdzian teatralnej sprawności tej ekipy. Postaci nie mają w tym dziele amerykańskiego Witkacego do końca spójnych portretów psychologicznych. A jednak Mariusz Jakus i Joanna Jeżewska jako everymani Antrobusowie na przemian śmieszą, zadziwiają, wprawiają w zażenowanie i wzruszają. Wierzymy im, nawet kiedy opowiadają głupstwa, kiedy się potykają, kiedy nie wiemy, o co im chodzi. Ich postaci niosą ze sobą pochwałę empatii, nawet cokolwiek abstrakcyjną, ale jednak gloryfikację więzi rodzinnych. Są godnymi przewodnikami po tym dziwnym świecie.

REKLAMA

Ten spektakl to wielki popis obecnej niemal cały czas na scenie Barbary Wypych. Jej pokojówka Sabina, przeżywająca kolejne tożsamościowe przemiany, chwilami drażniąco rozszczebiotana, a przecież szukająca razem z nami jakiegoś sensu w scenicznych drgawkach, to kolejny sukces tej młodej aktorki.

Uwagę przykuwa, też po raz kolejny, młody Przemysław Kowalski jako nierealnie mroczny Henry, syn Antrobusów. Sugestywna jest niewiele się odzywająca Monika Pawlicka jako córka Gladys. A poza tym galeria epizodów, zdumiewająco wyrazistych, poza wymienionymi wcześniej Agnieszka Suchora, Marcin Bubółka, Mariusz Ostrowski. Stara dobra szkoła Współczesnego wciąż nie idzie w zapomnienie, nawet jeśli część aktorów to stosunkowo świeże nabytki.

## Pożegnanie z Englertem

Ta uwaga skłania mnie do poruszenia jeszcze jednego tematu. Na premierze obecny był poprzedni dyrektor, odchodzący po ponad 40 latach nieprzerwanego dyrektorowania Maciej Englert. Rekordzista jeśli chodzi o długość teatralnych rządów. To on nie zmarnował, a wręcz pomnożył dziedzictwo Erwina Axera.

Do dziś pamiętam wiele jego spektakli, z fascynującym „Mistrzem i Małgorzatą”, adaptacją powieści Bułhakowa z roku 1987. Czterogodzinne, pulsujące wszelkimi barwami, widowisko pochłanialiśmy od pierwszej do ostatniej sceny. Ale widzę też owoce jego wysiłku aby trzymać wysoko poprzeczkę teatralnego rzemiosła. Dopiero co zachwycałem się jego „Wachlarzem” Carla Goldoniego. Takie błyskotki były wręcz sprawdzianem umiejętności bawienia się teatrem.

Zarazem był to teatr zawsze otwarty na najróżniejsze dokonania współczesnej literatury. To tu Wojciech Malajkat przyrządził świetną satyrę na nas samych, czyli „Wstyd” Marka Modzelewskiego. To tu Marcin Hycnar przypomniał inny celny teatralny przyczynek do naszej społecznej i obyczajowej rzeczywistości: „Dolce vita” Julii Holewińskiej i Kuby Kowalskiego. Już te dwie stosunkowo niedawne inscenizacje każą myśleć ze spokojem o objęciu przez nich obu sterów tego teatru. Będą zapewne ciekawie opowiadali o współczesności. Nawet jeśli na swoją pierwszą premierę wybrali tekst zaskakujący, może nie całkiem przekonujący.

REKLAMA

Pytanie, czy znajdą równie sensowną receptę na klasykę. Teatr Współczesny ostatnich lat to przecież także sugestywny, wierny tekstowi „Hamlet” Szekspira czy brawurowy „Fantazy” Słowackiego. Oba te spektakle wyszły spod ręki Macieja Englerta. Któremu przy tej okazji wypada podziękować ZA WSZYSTKO!

/ Kultura

piotr zaremba recenzja
teatr współczesny warszawa

REKLAMA